Nr. 11. We Lwowie, Poniedziałek dnia 17. marca. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

## Z teatrów paryskich.

*w Marcu 1890 r.*

(Przesilenie teatralne. — Widowiska pasyjne. — Nowości sceniczne).

Na porządku dziennym stoi obecnie kwestya przesilenia teatralnego, wywołana stagnacyą finansową wielu przedsiębiorstw teatralnych. Jedni utrzymują, że powodem niepowodzenia jest zbyt długie trwanie przedstawień, inni znów dopatrują się przyczyny tego objawu w opóźnieniu pory objadowej, lub w zbyt wygórowanej cenie wstępu. Niebrak natomiast i takich, którzy sądzą, że wina niepowodzenia tkwi w zbyt rozwielmożnionej gospodarce tak zwanymi *billets de faveur*, skutkiem czego każdy przeciętny Paryżanin uważa jako rzecz zbędną zapłatę za bilety teatralne i sądzi, że ceny wstępu powinny istnieć tylko dla cudzoziemców, i przyjezdnych z prowincyi. Znana powaga krytyczna, Sarcey, jest zdania że należałoby wobec spóźnionej pory obiadowej na termin przedstawień teatralnych obrać godziny wieczorne między szóstą a dziesiątą. Odmiennie znów na tę samą kwestyę zapatruje się Dumas, zdaniem którego o powodzeniu sztuki decyduje publiczność uczęszczająca na tańsze miejsca. Ponieważ te warstwy społeczne zajęte są pracą do godziny szóstej wieczorem, przeto otwarcie widowisk o tej porze, równałoby się wykluczeniu z teatru tych właśnie decydujących czynników. Autor *Damy Kameliowej* sądzi, ze powodem zobojętnienia publiczności dla teatru jest przeciąganie się przedstawień w późną noc. Sztuka pięcioaktowa już się przeżyła i da się bardzo wygodnie streścić w trzech aktach. Gdy się nadto skreśli wyszłe już z mody *lever de rideau,* wówczas przedstawienie rozpoczęte o godzinie dziesiątej skończy się nieochybnie o północy. Przy tej sposobności przypomiał Dumas, jak wielka zachodzi różnica między dawniejszem a obecnem znaczeniem pojęcia o powodzeniu sztuki. Gdy dramat starego Dumasa *Antony* granym był 31 razy, wówczas mówiono o znakomitym sukcesie sztuki. Obecnie setne z rzędu przedstawienie sztuki oznacza mierne jej powodzenie. Sam Dumas pamięta jeszcze czasy, gdy dochód dzienny w *Gymnase* normował się przeciętnie w wysokości sumy 2.000. franków. Obecnie wydatki wzrosły do tego stopnia, że koniecznym jest dochód dzienny 5.000 franków.

Niemniej wielką wrzawę wywołała wiadomość, jakoby w wielkim tygodniu jedna ze scen paryzkich zamierzała przedstawić widowisko pasyjne z Sarą Bernard w roli tytułowej. Rozpisano się bardzo szeroko na temat profanacyi, niestosowności przedstawień tego rodzaju przy współudziale aktorów i t. d. W obronie sceny i aktorów występuje Maurycy Donnay w *Figarze* i kończy swe wywody następującym zdaniem: „Czyż dla tego, że ten sam aktor, który wygłasza słowa Zbawiciela, grał już inne role — może być mowa o profanacyi? W takim razie profanacyą należy też nazwać misterye przedstawiane na jarmarkach przez wędrownych spiewaków. Profanacyą są również widowiska religijne w maryonetkowym teatrze, gdzie pierwszy lepszy drab ukryty za firanką recytuje bezmyślnie wielce naiwne rymy."

Na szczęście cała ta polemika okazała się bezprzedmiotową, gdyż pojawiło się w prasie oświadczenie Edmonda Haraucourt, że nie myślał nigdy ani o wystawieniu swego dramatu na rzeczywistej scenie, ani też tem mniej o powierzaniu roli którymkolwiek artystom.

Z ważniejszych wypadków bieżącego sezonu wypada zanotować pojawienie się *Egmonta* Göthego na scenie Odeonu. Mimo reklamy, kosztownej wystawy i prześlicznej illustracji muzycznej Bethowena, publiczność przyjęła bardzo zimno arcydzieło niemieckiego wieszcza. Zdaje się zatem, iż słusznem było zdanie Sarceya: „Zdaje mi się, że doznałem na tem przedstawieniu podobnego wrażenia, jakieby z pewnością odniósł Niemiec przysłuchując się przekładowi *Cynny* Kornela w swym ojczystym języku".

Z nowości tegorocznych mamy do zanotowania krotochwilę *Feu Toupineul* Bissona, przedstawioną w *Vaudeville.* Jest to wielce zabawna komedyja omyłek, polegająca na nieustannem *qui pro quo* i obfitująca w nieskończoną ilość komicznych sytuacyi. „Śmieliśmy się — pisze Sarcey w *Temps* — do łez. Od czasu *Niespodzianek rozwodowych* tegoż autora nie bawiliśmy się równie dobrze. Dyalog tryska dowcipem." Mniej szczęśliwym był Bisson z trzyaktowym wodewilem *Nos jolies fraudeses,* wystawionym w *Noveautės.* Wesoła ta rzecz zawiera zbyt wiele tłustych dwuznaczników.

Upadła również trzyaktowa komedya Antoniego Mais *Les vieux maris* w *Renaissance,* do której napisania skłonił autora znany wynalazek Brown Sequarda, mający na celu odmłodzenie ludzkości. Smutny ten los spotkał także Gandillota Leona z jego komedją *La couise aux jupons*, utworem wielce drastycznym, że wspomniemy tylko dwuwiersz Musseta, streszczający myśl przewodnią pracy Gandillota:

*„De quelque nom d'ailleurs que la femme s'apelle.*
*„L'home par tout pays en a bien vite asses"*

Haniebną porażkę poniósł w końcu w *Odeonie* George Ancey z swym dramatem *Grande mère.* Ancey jest wyznawcą szkoły naturalistycznej. Trzy jego utwory przedstawione w *Theatre libre* zwróciły na niego ogólną uwagę.

Chwalono w nim szczególnie bystrość obserwacji i świeżość oraz siłę dyalogu. Ostatni jego utwór zawiódł też ogólne oczekiwanie. W trzech długich i nudnych aktach widzimy rozwałkowane sceny z życia rodzinnego. Sarcey pisze o wyznawcach tej szkoły następujące zdanie: „System tych panów polega na schwyceniu najpowszedniejszej sceny z codziennego życia oraz na przedstawieniu takowej z realistyczną wiernością na scenie. Ponieważ scena ta jest wziętą z rzeczywistości, więc zdaniem ich winna się publiczności podobać... Wszystko to może być prawdziwem, lecz mimo to nie jest zajmującem. Mogłoby być niem, gdyby wszystkie te szczegóły służyły do bliższej charakterystyki danej osoby lub sytuacji... Pisarze ci zresztą nie są wynalazcami nowego systemu. Już Henryk Monnier i Chavette szkicowali obrazki z życia codziennego, lecz nie przenosili takowych na scenę, gdzieby musiały chybić celu. A jednak i tych obrazków nie szkicował Monnier z mechaniczną ścisłością fotograficznego aparatu. Z mnóstwa podpatrzonych na gorącym uczynku szczegółów wybierał tylko takie, które uważał jako najbardziej komiczne i malownicze."

*Gymnase* wygrało wielki los z sztuką *Paris fin de siècle.* Jest to szereg obrazków z tutejszego życia, skreślonych przez panów Bluma i Tochè. *Fin de siècle* stało się modnem wyrażeniem, jakkolwiek znaczenie jego bywa bardzo różnie tłómaczone. Jedni oznaczają niem zupełną dekadencyę pod każdym względem, drudzy szczyt wykwintu i hyperprodukcyę cywilizacyi, inni wreszcie zwą tak po prostu świat szalony. Autorowie wprowadzają nas kolejno do modnej restauracyi, do salonu kurtyzany, która zabrania swym przyjaciołom palenia cygar i w ogóle przybiera maniery matrony. Następnie znajdujemy się w salonie damy wielkoświatowej, rozrzutnej do szaleństwa, bardziej zalotnej od swej poprzedniczki. Wreszcie widzimy młodego człowieka z prowincji, któremu mentoruje doświadczony bywalec. *Fin de siècle* ściąga co wieczora tłumy publiczności, która bawi się znakomicie. Zdaniem krytyki, jest to sztuka, która mimo wielu błędów posiada zakrój aristofanesowski, i stanowi cenny przyczynek do historyi paryzkiego społeczeństwa w chwili obecnej.

W *Ambigu* cieszy się znów powodzeniem militarny dramat Emila Moreau i Ernesta Deprès p. t. *Le drapeau.* Sztandar narodowy odgrywa w tej sztuce bardzo ważną rolę, gdyż w stanowczej chwili widok jego zniewala zdrajcę do poprawy. Akcya odbywa się w r. 1799 podczas wojny z Austryą.

W końcu kilka słów wzmianki należy się *Theatre libre,* który wystawił szczególniejszą w swym rodzaju sztukę, zatytułowaną: *Deux Toutereaux.* Widzimy tu w chatce wiejskiej gwarzącą wesoło parę staruszków, gdy w tem nagle zjawia się żandarm wzywający oboje do apelu. Z ust stróża bezpieczeństwa dowiaduje się publiczność ku niemałemu swemu zdziwieniu, że idealna ta para to skazańcy w Nowej Kaledonii. Za niestawienie się do apelu czeka ich surowa kara. Przerażeni nią staruszkowie czynią sobie wzajemnie wyrzuty, wymyślają sobie w brutalny sposób. Z tej zajmującej dyskusyi dowiadujemy się, że nasz Filemon był niegdyś aptekarzem, który otruł swą żonę, zaś Baucis jako dama do towarzystwa zadusiła ongi swą chlebodawczynię. I znów pojawia się żandarm, tym razem w roli anioła pokoju, gdyż zwiastuje skazanym dekret prezydenta rzeczypospolitej znoszący kary dyscyplinarne. Sędziwa para uspakaja się i przeobraża się ponownie w czułe gruchającą parę gołąbków...

Jeźli autorowi chodziło o wywołanie uczucia najwyższego niesmaku, to przyznać należy, iż cel swój osiągnął w zupełności.

# POCIESZYCIEL.

## OPOWIADANIE

przez

**Romualdę Baudouin de Courtenay.**

(Dokończenie).

Operacya — straszne to słowo wisiało jak dusząca zmora, oblewająca zimnym potem zgrozy, nad szarym tłumem istot ludzkich, zbitym w kurytarzu; płoszyło ono dzisiejszej nocy trwożny sen z ich powiek, gasiło jasność wschodzącego słońca, wyciągało do reszty siłę z ich drżących nóg, napędzało im do głowy, uszów, serca ten chaos dziwnych tętnień, szumów, dźwięków, który tam wre i kipi, albo tę ciszę obumarłą, co po nim nastąpiła. Lecz oto czerwona jakaś struga zamigotała w ich oczach, lub bezkształtna płachta całunu mignęła przed nimi i skulona postać prostuje się nagle, źrenice otwarły się szeroko — nie, nic nie zmieniło się jeszcze, a czemuż serce tak szalenie bije? Tak, ci sami panowie przebiegają kurytarz, te same posługaczki w jasnych perkalowych sukniach z pustemi tackami, lub jednostajnemi zawiniątkami w woskowanym papierze i oni wszyscy tu jeszcze; nie, nic się nie zmieniło.

Na końcu ławki, przytykającej do olbrzymiej szafy, umieściła się szczupła kobieta z dzieckiem na ręku. Dziecina spi spokojnie, obwinięta w brunatną chustkę matczyną; tylko kąty usteczek, w dół przeciągnięte i nabiegająca często zmarszczka po środku bladego czółka z siecią szafirowych żyłek na skroni, dają poznać, że dziecko cierpi nawet. To też za każdem skrzywieniem się dziecka coś jakby podnosi matkę z siedzenia; wstaje więc co chwila i trzymając dziecko na wyciągniętych a omdlewających rękach, chodzi i chodzi, nucąc machinalnie jakąś kołysankę.

Dwóch posługaczy wyniosło z oddziału dla mężczyzn na rozkładanym fotelu klinicznym osłabłego starca i ustawiło go tuż obok ławki. Poruszał on co chwila wargami, otwierał je i znów przymykał, jakby mu dokuczała ich gorączkowa suchość. Tuż obok niego, naprzeciw szerokich drzwi, opatrzonych łacińskim napisem, siedziała młoda kobieta o nikłych, łagodnych rysach i wilgotnych oczach niebieskich. Sukienny kaftan szerokiemi fałdami okrywał drobną jej postać i opadał luźno na samodziałową spodnicę w poprzeczne paski. Jej zmęczony wzrok błądził wprawdzie także po ścianach i ludziach, lecz ślizgał się on tylko po powierzchni żywych i nieżywych przedmiotów, nie wywołując ani na chwilę żywszego wyrazu na jej wylękłej twarzy żadnego poruszenia.

Drzwi oddziału męzkiego znowu się otwary i tym razem wyszedł z nich o własnej sile wysmukły, jasnowłosy chłopiec w klinicznym ka-

ftanie, z ręką obwiązaną i spoczywającą na chuście i zmierzał wprost ku ławie. Oczy wieśniaczki w samodziałowej spódnicy zatrzymały się na nim i błysnęły niespodzianie, a prawa ręka wyciągnęła się nagłym ruchem w jego stronę.

— Jurgialis, Jurgialis! — zawołała ona, robiąc miejsce na ławie obok siebie. Chłopiec zwolnił kroku, obrzucił spojrzeniem chorych i ich przewodników, a spostrzegłszy kobietę, zatrzymał się przed nią.

— To i was, Maczulisowa, dzisiaj tu wyprowadzili? — spytał, podchodząc ku niej.

— A wyprowadzili na tę operacyę, bo to już pewno krajać nas dzisiaj będą; oj, ja nieszczęśliwa — załkała nagle kobieta — śmierć pewno po nas przychodzi!

— Ej, nie zawodźcie, nic Ð już nie pomoże — odezwał się parobczak; Bóg wie, może już prędko koniec naszej biedzie.

— Oj prawda, Jurgialis, że bieda nam, bieda w obcej stronie. Ni nas kto, ni my tu nikogo nie rozumiemy, gorzej jak niemowy. Ostatnie zdrowie tylko poszło na tę podróż i na szukanie tych doktorów i tego *klinika*; jakże nam teraz krajanie to i bóle przenosić.

— Och, boliż, bo boli — syknął Jurgalis. Dziś w nocy, choć wiem, że nikt nie zrozumie, prosiłem i krzyczałem, żeby mnie zaraz już tu dziś prowadzili i co chcieli z tą ręką robili, bo tak ona goreje, jakby na czerwonym żarze rozłożona.

— I ja już teraz jak siedzę, to wstawać nie mogę — mówiła Maczulisowa; coraz większa niemoc w krzyże mi wchodzi, odkąd się urodził mały mój Antosiek. Tu rzęsiste łzy polały się jej z oczu. I czy zobaczę ja kiedy tego Antośka mileńkiego i jego oczki słodkie! czy wycałuję jeszcze jego ciałko białe! Tłuściuchne było i twarde było takie, jakem wyjeżdżała, że mój Winca na żart bywało uszczypnąć próbuje, a chłopiec się tylko śmieje i ojca za brodę paluszkami ciąga. Dawno niewidziany uśmiech przemknął w łzawych oczach. A teraz bezemnie zmarniało pewno na nic niebożątko. Czy go tam Ewka dopatrzeć potrafi? Dziewczynina sama sześć lat niedawno skończyła; włosów sobie jak się należy rozczesać nie umie, a tu jej wszystko bez matki robić wypadnie.

Skazana już od tygodnia na przymusowe milczenie wśród ludzi, nie rozumiejących jej języka, Maczulisowa, znalazłszy się wobec sąsiada z jej okolicy, towarzysza trzydniowej podróży „do wielkich doktorów“, nie mogła się wstrzymać od mówienia i płaczu.

— Winca ma teraz niemało roboty na gumnie; a któż tam i krówki dopatrzy, jak się należy, i ptactwo, i inne dobro nasze. Wszystko przepadnie przezemnie nieszczęśliwą. Mnie pewno śmierć w obcej stronie, a mężowi i dzieciom bieda i zaguba...

Jurgialis wzdychał także, lecz nawpół tylko słuchał, gdyż oczekiwanie coraz to bliższej operacyi pochłaniało wyłącznie prawie jego uwagę. W tej chwili patrzył on właśnie na asystenta, który zbliżywszy się do chorych, mówił coś do nich, pytał, klepał niektórych z uśmiechem po ramieniu, dodając widocznie odwagi i obiecując rychłe wyzdrowienie.

— Na sen pewno dawać nam będą — odezwał się wieszcie Jurgialis.

— Na wieczny sen może — jęknęła kobieta.

— Bóg to święty raczy wiedzieć; może i nie na wieczny. U nas w Joniszkach żyd mi jeden opowiadał, że i jemu kiedyś dawali, a jednak się obudził, i sołdat jeden także, co teraz do gorzelni się najął, to samo mi mówił. Wczoraj widziałem aż dwóch tu takich przynieśli, jak niby pijanych, ale to oni pewno dopiero się przebudzili. Nie dopytać się nie mogłem, bo tu nikt człowieka nie rozumie.

— I po co ksiądz nam radził jechać aż tutaj? — cicho mówiła Maczulisowa.

— Najwięksi — powiadał — tutaj doktorowie: do nich jedźcie; jak oni nie pomogą, nikt już wam nie pomoże.

— Oj nie pomoże, nie pomoże — łkała cicho kobieta.

W tej chwili dał się słyszeć przeciągły głos zegara i jednocześnie pewne kroki męzkie rozległy się od strony wchodów. Niemłody jegomość, dość szczupły i sztywny, z długiemi siwemi faworytami, w złotych okularach na garbatym nosie i z dużym okrągłym koralem w krawacie skierował się prosto do drzwi gabinetu profesorskiego. I oto coś na kształt iskry elektrycznej przebiegło przez łańcuch zbolałych członków ludzkich, zebranych na ławie pod ścianą. Jakiś szmer głuchy napełnił cichą przestrzeń, powtórzyły go echa z końca w koniec. Chorzy i ich opiekunowanie zwarli się na chwilę w jeden szereg. Matka, brat, przyjaciel cisnęli się każdy do swojego, z ostatniem słowem pociechy i dobrej nadziei, i z najgorętszym uściskiem. Tylko wieśniaczka z nadniemeńskiej strony i jasnowłosy Jurgialis z „gorejącą“ ręką zostali sami jedni bez bratniego uścisku i dobrego słowa...

Drzwi dużej sali dla chorych otwarły się naoścież; dziwne jakieś tęczowe blaski oblały nagle tych ludzi w kurytarzu. Niebieskie złote, purpurowe promienie płynęły z olbrzymiego gotyckiego okna ku młodej wieśniaczce i ku jasnowłosemu chłopcu, i ku staremu żołnierzowi w białym kitlu ze świecącemi guzikami, i ku innym towarzyszom niedoli. I wszystkich ich oczy wzniosły się wysoko aż ku tej białej postaci Pocieszyciela, wśród glory tęczowej, garnącego do piersi takich jak oni kalek i nieszczęśliwych, i utonęły w tych polskich uszach, przenikających a litościwych bez granic...

Nagle Jurgialis zsunął się na kolana; stary żołnierz w kitlu białym uderzył potrzykroć czołem o zimny kamień podłogi, a wyciągnięte ramiona biednej matki z uśpioną dziecina podniosły się wysoko nad jego głową. Gorący strumień oblał zachwyconą twarz Maczulisowej, skrzyżowane jej ręce cisnęły się do piersi, w którą wlatywał znowu spłoszony ptak nadziei.

* * *

Biały szron srebrzył liście klonów wczesnym rankiem i przylepiał je do stwardniałej ziemi. Dwukonna dorożka zajechała na wewnętrzny dziedziniec kliniki, a młoda kobieta, w radosnem zakłopotaniu, pakowała do jej wnętrza jakieś węzły i węzełki, wysmukły Jurgialis pomagał jej wesoło lewą ręką. Prawy rękaw płasko opadał mu na boku.

— *Banhof, maszyna* — tłómaczył on dorożkarzowi.

— *Ja, ja, ich weiss schon* — odmruknął niechętnie dorożkarz.

Ukośny jakiś promień szafirowy od gotyckiego okna z górnej sali błąkał się po płowych włosach chłopca, po jasnej chustce na głowie kobiety... Gniade koniki ruszyły...

---

## Spreewald i Wendowie.

Jedno z pism francuskich zainteresowało się garstką Wendów, zamieszkałych, jak wiadomo, w t. zw. szprewskim lesie, niedaleko Berlina, a na południo-zachód Frankfurtu nad Odrą. Gazeta pomieniona, dla której istnienie znanych u nas powszechnie Wendów, stanowi zupełnie nowe odkrycie, pisze o nich co następuje:

Opodal od Berlina, w samem sercu Prus, istnieje kraik mało bardzo znany, a będący przedmiotem podziwu tych turystów, którzy go zwidzali. Zamieszkują go szczątki narodu zaginionego. Wendowie są jedną z mniej znanych a ciekawszych osobliwości Niemiec. Sprewa o jakie dwadzieścia (właściwie o dziesięć) mil od stolicy, wkroczywszy w las, któremu nadała nazwę, w Spreewald, rozdziela się na trzysta strumieni, tworzących jakby ścieżki wodne. W całej okolicy, długiej na 60 kilometrów, komunikacye odbywają się na łodziach. Jest to jakby Holandya, lecz Holandya pokryta tak gęstym lasem, że gałęzie drzew plączą się między sobą. Las sprewski jest ostatnim szańcem Wendów, plemienia słowiańskiego, które opanowało Europę w trzeciem stuleciu naszej ery. Gdy w następstwie zwycięzcy ci zostali wyparci przez inne plemiona, pewna ich grupa schroniła się w tym dziewiczym lesie, osiedliła się w nim i rozpoczęła życie samodzielne. Łatwo pojąć, że odgrodzeni wodą i drzewami od reszty świata, Wendowie zachowali do dziś dnia tradycyje swe, język i obyczaje. Aż do połowy naszego wieku jedynem znanem im miastem było Cottbus, położone na północ od Spreewaldu; nazywali je po swojemu „Miesto“ (miasto). Dopiero od wytknięcia kolei z Berlina do Gorlitz, przechodzącej przez Lubben, Lubbenau i Cottbus, podróżni poznali ten dziwny kraj i owych pierwotnych Wendów. Obowiązek pełnienia służby wojskowej objaśnił to zaginione plemię o istnieniu wielkiej „ojczyzny niemieckiej,“ lecz każdy Wend po odbyciu powinności, spieszy co rychlej do swego lasu, gdzie odnajduje język rodzinny i drogie sobie obyczaje; uszanowane zresztą przez rząd, jako zabytek archeologiczny. W małym tym organizmie społecznym, różnica klas jest mocno zaakcentowana. Na najwyższym szczeblu hierarchii stoi włościanin, posiadacz obszernego gruntu, następnie idzie kossaeth, włościanin drugiej kategoryi, posiadający niewielki kawał ziemi, potem hausler, który ma tylko chatę i wreszcie tagelohner, najemnik.

Z zewnętrznego pozoru, kasty te nie różnią się wcale pomiędzy sobą. Wogóle mężczyźni zatracają coraz bardziej strój narodowy, lecz kobiety, bądź przez poszanowanie tradycyi, bądź przez kokieterję, przechowują go wiernie. Ubiór ich odświętny składa się ze spódnicy jedwabnej ponsowej lub niebieskiej, spadającej do połowy łydki i zakrytej fartuchem innego, również jaskrawego koloru. Figury ujęte mają w gorseciki jedwabne, ramiona obejmuje także chusteczka. Na głowie noszą czepce, tworzące płaski trójkąt nad czołem, zakończony z tyłu dwoma dużemi skrzydłami. Materye i płótno do tego stroju tkają same podczas zimowych wieczorów.

Małżeństwo pomiędzy córką włościanina-posesyonata i tagelohnera uważane jest za taki mezaliaus, jak np. u nas pomiędzy księżniczką i drwalem. Według ich pojęcia, istnieje w tym kierunku jedna tylko większa hańba, a mianowicie: związek z Prusakiem. Wogóle małżeństwa wendyjskie nie zawierają się z miłości, lecz z rachuby. Wprew zwyczajom, rozpowszechnionym w całej Europie, kobieta poszukuje dozgonnego towarzysza życia. Skoro tylko wyrośnie na dziewicę, zbiera informacye o stanie majątkowym młodzieży i czyni wybór. Następnie wysyła matkę lub urzędową swachę do domu młodzieńca, aby w jej imieniu prosiła go o rękę. Jeśli propozycya zostaje przyjętą, uwiadamiają pastora i naznaczają datę ślubu. W dniu tym oblubienica udaje się do mieszkania swego narzeczonego. Ubrana jest w czarną jedwabną suknię i takiż gorsecik (czarny kolor jest bowiem barwą oblubieńców), na głowie ma wianuszek mirtowy. Przekroczywszy próg domu przyszłego swego małżonka, dziękuje mu za zgodzenie się na ten związek i przedstawia mu czekające go obowiązki; wszyscy obecni wnoszą piwem zdrowie państwa młodych i następnie cały orszak wsiada na łodzie. Jeśli ślub odbywa się po za obrębem kolonii, wówczas orszak poprzedzany bywa przez sześciu jezdnych. Na czele postępuje drużba z białą szarfą, przewieszoną przez ramię i szablą u boku. Oblubieniec cwałuje konno z wieńcem na głowie. Po za nimi jedzie wóz z panną młodą i jej rodzicami. Matka wiezie w koszyku ukarmiony drób w upominku dla pastora. Podczas drogi oblubieniec powinien sobie powtarzać dziesięcioro przykazań i zbliżyć się raz do dziewczyny ze słowami: „Czyste i bogobojne powinno być życie, w słowach i czynach.“ Na co ta ostatnia mu odpowiada: „Żona winna kochać i szanować męża swego.“

Przybywszy przed świątynię, narzeczeni pukają do drzwi. Otwiera im pastor i wprowadza do zakrystyi, gdzie zdają egzamin z religii. Następnie wracają do kościoła na obrządek zaślubin. Wesele trwa przez dwa dni w domu panny młodej. Przez ten czas wolno przyłączać się każdemu, kto chce, do liczby biesiadników, więc też zazwyczaj na gościach nie braknie.

Ciekawe są także zwyczaje, zachowywane przy pogrzebach. Wendowie mają przesąd, że gdy raz śmierć wejdzie do jakiego domu, stara się uczynić w nim jak najwięcej spustoszeń, to też skoro tylko kto z rodziny wyzionie ducha, natychmiast otwierają na oścież drzwi i okna, aby śmierć wybiegła jak najprędzej. Zapalają następnie tyle świec, ile zmarły przeżył lat, składają zwłoki do trumny, która stawia się na środku komnaty na dębowej ławce. Natychmiast po wyprowadzeniu ciała musi ona być spaloną, gdyż ktobykolwiek na niej usiadł, zmarłby niewątpliwie. W kilka chwil po śmierci nieboszczyka, spędzają przed ego dom całą jego chudobę, aby oznajmić o zejściu pana. Uroczystym tonem, wobec zgromadzonych zwierząt, najbliższy krewniak zmarłego opowiada im o przebiegu choroby i smutnem jej zakończeniu.

W dzień pogrzebu schodzą się wszystkie kobiety z rodziny, ubrane biało (gdyż jest to kolor żałoby) i owinięte w prześcieradła, tak, iż widać tylko oczy ich i ręce. Trumna niesiona jest przez ludzi, należących do tej samej kasty.

Ponieważ zachodzi obawa, aby i na cmentarzu śmierć nie porwała nowej ofiary, więc pastor wylicza głośno wszystkich pozostałych członków rodziny nieboszczyka.

Religia protestancka, która wpierw od języka niemieckiego wkroczyła pomiędzy Wendów, zmuszona jest zmieniać niektóre szczegóły swych obrządków dla zastosowania się do tradycyj tego plemienia.

---